
Od przeszłości do teraźniejszości

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego

1945–2015



W kręgu ludzi i książek

Abstract: In the Circle of People and Books

In these reminiscences the ex-director of The Library of Łódź University (1987–2005) describes his work of many years. The stages of Mr Janiak's career from a library storekeeper to a director are described. Special attention is paid to the system of library work before computerization. The atmosphere at the Library as well as the friendly relations between people working there at that time are dealt with. Several people whose work at the Library was significant are recalled. The growing problem of the difficulty with space to store the books is discussed from the author's point of view. Moreover, the stages of a long process of automatization as well as the conditions in which it was introduced, are presented. Many initiatives undertaken to erect a new building of the Library are also mentioned.

327

W roku 1959, mając osiemnaście lat, znalazłem się w trudnej sytuacji życiowej i szukałem pracy. Dowiedziałem się, że jest możliwość zatrudnienia w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego (BUŁ) i kiedy 1 grudnia tegoż roku wszedłem do gabinetu wicedyrektora Michała Kuny w gmachu BUŁ przy ulicy Narutowicza 59a nie sądziłem, że spędzę w tej instytucji ponad czterdzieści lat. Zostałem zatrudniony na etacie pomocnika magazyniera.

Dyrektor Kuna wręczył mi zakres obowiązków służbowych, dowiedziałem się też, że będę pracował w magazynie nowej Biblioteki przy ul. Matejki i w niektóre dni dołączę do zespołu, przenoszącego ostatnie partie księgozbioru z pomieszczeń przy ul. Narutowicza 59a. Poleciał mi, abym zszedł na tyły budynku i z kierującym przeprowadzką Mirosławem Cieślakiem, pojechał z transportem książek do nowego magazynu.

Po kilkudziesięciu minutach samochód zatrzymał się na tyłach dziesięciopiętrowego magazynu. Kiedy zajęto się wyładowywaniem skrzyń wszedłem za Cieślakiem w korytarz na parterze gmachu. Cieślak przedstawił mnie Wacławowi Drzewieckiemu, nadzorującemu ustawianie zbiorów w nowym miejscu Drzewiecki przypatrywał mi się dłuższą chwilę,

* Dr Jan Janiak, dyrektor BUŁ w latach 1987–2005.

a potem powiedział z wyrzutem do Cieślaka: „No i kogo ten Kuna przyjął do pracy? Chudszego nie było? Takiego do magazynu daje? Przecież tu silnych i zdrowych trzeba, a nie jakiegoś takiego.... patyczaka”.

Wzruszył ramionami i machnął ręką, ale polecił mi abym poszedł z nim do jednego z kilku pokoi po lewej i po prawej stronie korytarza. Tam wręczył mi fartuch i kazał dołączyć do noszących skrzynie.

Skrzynie były duże, długie i ciężkie. Na listwach napisano czarnym tuszem numer piętra i regału. Magazyn ma cztery windy towarowe i osobowe, z towarowych nie korzystano bo skrzynia się w nich nie mieściła, w windzie osobowej skrzynię ustawiano skosem ryzykując wypadnięcie zawartości. Po wyjęciu skrzyń z windy trzeba je było nieść, przez całe magazynowe piętro do metalowych regałów. Po kilku kursach czułem, że siły mnie opuszczają. Czyżby Drzewiecki miał rację? W nowym gmachu nie było jeszcze wózków magazynowych. Zdumiewał mnie Cieślak, który przenosił skrzynie sam, bez niczyjej pomocy. Obserwował mnie i po godzinie noszenia odesłał do wyjmowania książek i ustawiania ich na półkach w takim porządku, w jakim były w skrzyniach ułożone, a więc w kolejności sygnatur i według formatów, zwracając uwagę, aby na półce nie stały za ciasno. Następnie należało wyrównać grzbiety tak, aby ani wystawały, ani były wepchnięte w głąb szeregu.

328

Niebawem, kiedy już wszystkie skrzynie znalazły się na piętrze, czwórka nosicieli przystąpiła do układania książek na regałach. Należało opróżnić wszystkie skrzynie ponieważ wracały tego samego dnia na Narutowicza, żeby popołudniowa zmiana mogła przygotować transport na rano.

W następnych dniach nie zawsze się to udawało z powodu awarii wind. Gdy windy nie działały nosiliśmy książki „kozami”. „Kozą” składała się z szerokiej deski z przybitą u jednego końca poprzeczną półką oraz z dwu parcianych pasów przymocowanych tak, jak w plecaku. Jeden z nas zakładał sobie „kozę” na plecy a drugi układał na dolnej półce stos książek. Kiedy stos sięgał górnego brzegu deski magazynier wyruszał pieszo na odpowiednie piętro, a tam inny zdejmował książki z zachowaniem kolejności ich ułożenia. „Kozę” nosiło się wygodniej, aniżeli skrzynie i kilka razy z tym nosidłem na plecach wędrowałem wewnętrzną klatką schodową magazynu.

Po drugim śniadaniu Mirek zabrał mnie na piętro dziesiąte. Pokazał mi książkę o sygnaturze „1”. Tu zaczynały się druki zwarte, które schodziły piętrami coraz niżej, do piętra piątego, a od piętra pierwszego w górę ustawiano czasopisma. Dowiedziałem się, że magazyn przewidziany jest na milion wol., a na jednym piętrze mieści się około sto tysięcy. Jeśli policzyć roczny wpływ do biblioteki książek, gazet i czasopism, to przewidywano, że za trzydzieści lat książki i czasopisma spotkają się i nie już będzie miejsca na zbiory.

Z okna z widokiem na Katedrę Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej, zobaczyłem plac, na który miał stanąć nowy gmach magazynu, jako przedłużenie istniejącego, a ściany miały być wyburzone. Gmach nowego magazynu nie powstał, a po trzydziestu latach to ja zmagam się z problemem kurczącego się z roku na rok miejsca na zbiory.

Już w roku 1960 decyzją władz uczelni, zostali w Bibliotece ulokowani – na długie lata – sublokatorzy (wg ówczesnych nazw): Zakład Etnografii (cztery pomieszczenia w tzw. pawilonie), Zakład Historii Sztuki (dwie sale na I p. w głównym gmachu), Zakłady i Katedry Literatury Polskiej (osiem lokali na wszystkich 3 piętrach południowego skrzydła gmachu). Aula w pawilonie oraz dwie sale na parterze pozostawały kilka lat w dyspozycji władz UŁ jako sale dydaktyczne. Umieszczono też w BUŁ centralną Powielarnię UŁ. W roku 1972 przybyła Katedra Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej, w 1971 jeszcze Archiwum UŁ, a każda z tych jednostek (z wyjątkiem Archiwum) z własną biblioteką. Ulokowanie w gmachu BUŁ tyłu instytucji wynikało z fatalnej sytuacji lokalowej uczelni, która gnieździła się w kilkudziesięciu starych kamienicach w śródmieściu. Zajmowanie gmachu BUŁ przez jednostki naukowo-dydaktyczne wzbudzało od początku niepokój dyrektora BUŁ, prof. Heleny Więckowskiej, która protestowała przeciwko niechcianym gościom. Sublokatorzy zajęli 1/3 powierzchni Biblioteki czyli 1700 m²! W budynku przy ul. Narutowicza 59a było podobnie. Miały tam swoją siedzibę: Ośrodek Szkolenia Kadr Oświatowych oraz Poradnia Przeciwalkoholowa. Przez to agendy Biblioteki rozmieszczone były na dwóch niesąsiadujących ze sobą piętrach co niezwykle utrudniało pracę.

W następnych tygodniach polecono mi realizowanie zamówień z Czytelni Czasopism Bieżących, którą w maju 1959 r. tymczasowo, na czas prac budowlanych na drugim piętrze, usytuowano w tzw. pawilonie – parterowym budynku z wejściem od Narutowicza, tam gdzie dzisiaj znajduje się Sekcja Dokumentów Życia Społecznego.

Kiedyś w sali przewidzianej dla Czytelni Czasopism Bieżących zobaczyłem na rusztowaniu człowieka w poplamionym fartuchu, malującego kolorowe koła na tylnej ścianie. Był to autor fresku – Lech Kunka, wybitny malarz, grafik i rysownik. Jedynie dwa dzieła sztuki w Bibliotece nie wzbudzały negatywnych emocji: ów kolorowy fresk Lecha Kunki i płaskorzeźba ceramiczna w hallu na parterze, autorstwa Antoniego Starczewskiego. W opracowaniach poświęconych polskiej sztuce XX w. płaskorzeźba ta jest często reprodukowana i uznawana za jedno z najlepszych dzieł artysty. Pozostałe, czyli ścienny obraz Stanisława Fijałkowskiego pt. *Człowiek w kosmosie* (I p.) oraz rzeźba Mieczysława Szadkowskiego w hallu na II piętrze, nie znalazły uznania w oczach pracowników i czytelników. Pierwsze dzieło nazwano „Portki w kosmosie”, a rzeźbę

sugerującą, iż jest to kobieta w pozie siedząco-leżącej rozpoznano jako „Tatarkównę na wczasach” (Michalina Tatarkówna-Majkowska była w latach 1953–1964 I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łodzi).

Umieszczenie Czytelni Czasopism Bieżących w pawilonie okazało się bardzo uciążliwe dla magazynierów. Realizacja czytelniczych zamówień wymagała pójścia do Czytelni po rewery, a więc zjechania windą na parter magazynu, przejścia przez katalog do małego hallu, zejścia schodami do dużego hallu i pokonania kolejnych schodów przed drzwiami sali czytelni. Po powrocie do magazynu i wybraniu z półki żądanych roczników czasopism, trzeba było pokonać tę samą drogę pchając przed sobą wózek naładowany ciężkimi drukami. Najtrudniej było ze schodami. Łatwiej było z gazetami dużych formatów, których magazyn znajdował się w podziemiu. Tam była towarowa winda połączona bezpośrednio z Czytelnią. Wkrótce wpadliśmy na pomysł ułatwienia sobie tej mitręgi.

330 Między gmachem magazynu a pawilonem jest wewnętrzny dziedziniec. Kiedy dyżurująca w Czytelni osoba w oknie jednej z celek postawiła „chorągiewkę” czyli, np. doniczkę, należało zabrać rewery, leżące obok „chorągiewki” i – żeby nie biegać długą drogą, wyskoczyć przez okno Sekcji Inwentarza, przebiec przez patio, zabrać rewery, a jeśli czytelnik zamówił tylko dwa lub nawet cztery dające się unieść w rękach tomy, odnieść je, wyskakując znowu przez okno i kładąc je na parapecie obok „chorągiewki”. Była zima, wpadaliśmy często w głęboki śnieg i któryś z nas musiał być tym pierwszym, który przetrze drogę od okna do okna. Po wyprowadzeniu Czytelni Czasopism Bieżących na II piętro, sala została zaanektowana przez władze UŁ. Służyła zarówno jako sala wykładowa, jak i miejsce uroczystych inauguracji roku akademickiego. Przez kilka lat salą wykładową było też pomieszczenie, w którym do nie dawna znajdowała się Biblioteka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej, a przedtem bardzo długo mieściła się Biblioteka Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu.

W Oddziale Magazynów pracowałem dwa lata, potem zostałem przeniesiony do Wypożyczalni Miejscowej, gdzie spędziłem siedem lat. Kierownikiem była Natalia Canova, a personel stanowili m.in. długoletni, starsi ode mnie pracownicy: Cecylia Ochędzan, Stanisław Starkiewicz, Teresa Kalas, Józefa Klimczak, Benedykt Krystek.

Nietuzinkową, niezwykłą postacią w tym gronie był Stanisław Starkiewicz. Znał kilka języków obcych, w tym portugalski, węgierski czy litewski i czasami, na prośbę koleżanek z opracowania alfabetycznego i przedmiotowego, katalogował książki w tych językach. Najbardziej wsławił się tym, iż w dniach tzw. kryzysu kubańskiego (15–28 października 1962), w okresie zagrożenia wybuchem nuklearnej wojny między USA i ZSRR, odmówił wybitnemu historykowi profesorowi Stefanowi

Kuczyńskiemu przedłużenia książek. Starkiewicz książki zabrał, a rewersy podarł. Tłumaczył profesorowi, że w obliczu światowego konfliktu Biblioteka musi księgozbiór chronić dla pokoleń, które przeżyją, więc nie ma mowy o wypożyczaniu. Duża to była awantura, która zakończyła się w gabinecie profesor Heleny Więckowskiej. Nigdy się nie dowiedzieliśmy od Starkiewicza, czy rekrując książki profesorowi Kuczyńskiemu kpił sobie wtedy, czy myślał tak naprawdę. Innym razem Starkiewicz pojawił się o godz. 6.00 rano w bardzo mroźną styczniową niedzielę przed drzwiami mieszkania Dziuni (tak nazywaliśmy Józefę Klimczak), która mieszkała w Zgierzu w starej, pozbawionej kanalizacji kamienicy. Przyjechał, żeby jej przynieść z ulicznego hydrantu dwa wiadra wody, ponieważ czasami narzekała na tę niedogodność w zimie. Pamiętam jeszcze, że gdy Cecylia Ochędzan poszukiwała we wszystkich aptekach zachodniego leku dla ciężko chorego ojca (zachodnie lekarstwa były trudno dostępne, sprowadzano je za dolary) to pewnego dnia odkryła w szufladzie swojego biurka ów drogocenny lek. Długo trwało zanim przyznał się do tego Starkiewicz, który poprzez łańcuszek ludzi dobrej woli dotarł do kogoś w farmaceutycznej hurtowni i lekarstwo zdobył. Niekonwencjonalny sposób bycia pana Stanisława przejawiał się także wówczas, gdy nagle informował, że musi przypatrzeć się cieniom drzew w parku im. Matejki i to pragnienie bezzwłocznie realizował, albo też oświadczał, że musi koniecznie wyjść na pół godziny ponieważ za kwadrans przy zbiegu ul. Narutowicza i al. Kościuszki będzie wsiadała do tramwaju niespotykanej urody kobieta i on musi tam być...

Nie mogę nie wspomnieć Benedykta Krystka czyli po prostu Benka, z którym się zaprzyjaźniłem, mimo sporej różnicy wieku między nami. Był uzdolniony plastycznie, a przede wszystkim pisał znakomite wiersze, publikował je, zdobywał poetyckie nagrody na ogólnopolskich konkursach. Pisał też fraszki i aforyzmy. Kiedy na własną prośbę został przeniesiony do Oddziału Magazynów i Konserwacji Zbiorów, na ścianie III piętra powiesił arkusz pakowego papieru, a na nim umieszczał fraszki trafnie, dowcipnie charakteryzujące ludzi i sytuacje. Niektóre z jego celnych fraszek przekazywano sobie z ust do ust. Był bardzo lubiany, koleżeński, ceniony jako sumienny, odpowiedzialny pracownik. W grudniu 2012 r. Oddział Informacji Naukowej zorganizował poświęcony mu wieczór poetycko-wspomnieniowy.

Dwa miesiące po rozpoczęciu roku akademickiego następował dla magazynierów i pracowników Wypożyczalni Miejskowej czas spokojniejszej pracy – porządkowania księgozbioru, sprawdzania kartotek rewersów i pisanie zaległych monitów. Od lutego zaczynało się znowu obłężenie Magazynu i Wypożyczalni, Czytelni Główniej i Czytelni Czasopism Bieżących, bo studenci kierunków humanistycznych zabierali się za materiały

potrzebne im do ćwiczeń i seminariów i za pisanie prac magisterskich. Podręczny księgozbiór Czytelni Głównej był znakomicie zaopatrzony we wszystkie publikacje bibliograficzno-informacyjne niezbędne filologowi, historykowi, kulturoznawcy, etnologowi, prawnikowi czy ekonomście. Szczególnie wysoko ceniony był przez studentów i pracowników naukowo-dydaktycznych zbiór źródeł historycznych. I jak w październiku i listopadzie ustawiały się tłumne kolejki do Wypożyczalni, tak od lutego w Czytelni Głównej okupowano wszystkie stoliki zaś ci, którzy nie zajęli wcześniej rano miejsca, czekali w hallu aż stolik się zwolni. Z Czytelni Głównej i Czytelni Czasopism sypało na III p. Magazynu rewersami, a ponieważ wielu czytelników nie znało umiaru w ich wypisywaniu wprowadzono okresowy limit: pięć rewersów jednorazowo.

W gronie pracowników Czytelni Głównej niezwykle osobą był Antoni Romanowski. Pisał niezbyt udane wiersze, które od czasu do czasu czytał na głos na zapleczu podczas drugiego śniadania. Zasłynął z tego, że po zamachu na Johna F. Kennedy'go napisał obszerny rymowany poemat o zamordowanym prezydencie. Utwór ten przesłał wdowie, Jacqueline Kennedy. Śmiano się po cichu i nie po cichu z tego pomysłu, ale po dwu lub trzech miesiącach śmiechy ucichły, gdy Antoni Romanowski otrzymał od wdowy list z serdecznymi podziękowaniami! Chodził niezwykle dumny, uradowany i pokazywał go wszystkim.

Następnym miejscem, w którym pracowałem, była Sekcja Opracowania Wydawnictw Ciągłych w Oddziale Opracowania Alfabetycznego. Tutaj spędziłem siedem lat. Sekcją kierowała Władysława Skibińska, a pracownikami byli: Jadwiga Bogusławska, Jadwiga Kamińska (Jaga) i Jerzy Tynecki. Przeszedłem tutaj rzetelną szkołę katalogowania gazet i czasopism. Wymagano dokładności, wnikliwości, sumienności. Nauczono mnie sięgania do obcych i polskich wydawnictw źródłowych pomocnych przy ustalaniu tytułów druków ciągłych, częstotliwości ich ukazywania się, nazwisk redaktorów, miejsc i lat wydawania itd. Wymagano także czytelnego, ładnego charakteru pisma, albowiem maszyny do pisania nie tak szybko pojawiły się w Bibliotece. Ich wprowadzenie było takim przewrotem w pracy bibliotekarskiej jak zastosowanie komputerów. Przez wiele lat narzędziami pracy były: pióro, atrament, potem długopis; ołówek używany był także wtedy, kiedy przed każdym pracownikiem stała już maszyna do pisania, obok niej jednak leżała szkolna gumka oraz... żyletka. Przez żyletkę przewlekano tasienkę, najczęściej czerwoną, żeby łatwiej można ją było wziąć do ręki. Żyletka służyła zeszkrobrywaniu błędnie napisanych słów. Niezwykle rzadkiej, a może jedynej na świecie, pasji kolekcjonowania zeszkrobrywanych pyłków oddawała się pewna dystygowana, elegancka pani pracująca w Oddziale Opracowania Przedmiotowego. Katalogowe kartki były w trzech kolorach, a więc i pyłki były kolorowe.

Po kilku latach na biurku sympatycznej hobbystki stały trzy plastikowe miseczki zapełnione kolorowymi pyłkami...

Gdy upowszechniło się katalogowanie na maszynach do pisania, i tak nadal używano żyletek, ponieważ na kartonowych kartkach białe korektory nie zawsze działały. Innym atrybutem bibliotekarza był sznurek, który cięto na potrzebnej długości odcinki. Sznurki przewlekano przez dziurki w katalogowych kartach, aby nie zagubiła się karta główna i karty odsyłaczowe, co było istotne dla osoby korygującej opis przed włączeniem kart do katalogu. Wiele dyskusji wywołały... długopisy. Jedni uważali, że tusz długopisów po jakimś czasie zblednie i kartki katalogowe będą nieczytelne, inni temu zaprzeczali. Okazało się po wielu latach, że jednak rację mieli ci pierwsi, bowiem przy tzw. melioracji katalogów natrafiano na wyblakłe kartki. Także ten problem zgłaszali czytelnicy.

Nie pamiętam, kto wpadł na pomysł kserokopii kart katalogowych w przypadku, gdy trzeba było sporządzić kilka ich egzemplarzy. Najczęściej chodziło o tzw. karty częściowe czyli odsyłacze. W Pracowni Introligatorskiej sporządzono na sztywnych kartonach coś, co przypominało klaser używany przez filatelistów i przekazano te kartony do Pracowni Fototechnicznej. Tam pracownicy z oddziałów opracowania alfabetycznego i przedmiotowego zanosili oryginały kart do powielenia. Powielone cięto znowu w introligatorni i w ten sposób, zamiast pisania na maszynie, oszczędzano czas i trud. No i trzeba było jeszcze je przedziurkować, żeby nasadzić na pręty w szufladkach.

Po kilku latach biegania z rewersami po piętrach, pchania wózków, stania godzinami przy ladzie, i nieustannego pośpiechu, praca przy opracowaniu gazet i czasopism była czynnością intelektualną i niemal dostojną. Atmosferę pełną dostojeństwa tworzyły Władysława Skibińska i Jadwiga Bogusławska, ucząc nas – młodszych, odpowiedzialności za jakość katalogowych informacji.

Często przychodziła do pracowni Krystyna Pieńkowska – bezpośrednia szefowa, kierownik Oddziału Opracowania Alfabetycznego, autorka przepisów katalogowania druków zwartych, wicedyrektor w latach 1969–1976. Była niekwestionowanym autorytetem. Konsultowano z nią problemy katalogowania w razie trudności z zaliczeniem publikacji do druków ciągłych. Pieńkowska nie sprawiała wrażenia otwartej, bezpośredniej, nawiązującej łatwo kontakt, ale ceniła u pracownika rzetelny stosunek do pracy i umiejętność samodzielnego rozwiązywania problemów.

Dr Jerzy Tynecki był wyjątkową osobowością, indywidualistą, człowiekiem małomównym, samotnikiem, bardzo pracowitym i zdolnym naukowcem, autorem wielu publikacji z historii literatury polskiej XIX i XX w., autorem tomiku wierszy oraz wydanej pod pseudonimem powieści. W wielu sprawach miał opinię odrębną, odbiegającą od schematu

i oczekiwanej poprawności. W Bibliotece UŁ zatrudniony był dwukrotnie. Najpierw w latach 1968–1972. W roku 1972 przeszedł do Instytutu Filologii Polskiej UŁ jako adiunkt w Zakładzie Literatury Nowożytnej. Powrócił do BUŁ w roku 1988. Najpierw pracował w Oddziale Prac Naukowych, następnie w Oddziale Zbiorów Specjalnych. Tutaj podjął się i doprowadził do końca, wydawałoby się niemożliwej do wykonania, rekonstrukcji naukowej spuścizny po profesorze Józefie Litwinie. Otóż po śmierci tego wybitnego prawnika, specjalisty prawa administracyjnego, rodzina przekazała Bibliotece UŁ jego rękopisy i maszynopisy. Na piątym piętrze Magazynu stało kilka kartonowych pudeł wypełnionych po brzegi wąskimi paskami papieru, z jedno- lub dwuzdaniowym tekstem napisanym na maszynie. Były to glosy prof. Litwina do orzeczeń sądowych. Przez wiele lat nikt z Oddziału Zbiorów Specjalnych nie podejmował się opracowania tego zbioru. Gdy Michał Kuna, ówczesny kierownik Oddziału, zaproponował Jerzemu Tyneckiemu pracę nad tymi materiałami, ten zgodził się – zawsze lubił trudne wyzwania i łatwizna go nie interesowała.

Postawiono więc Tyneckiemu biurko i krzesło przy oknie w auli Sekcji Dokumentów Życia Społecznego, zniesiono tam pudła, a on poprosił na początek o sporą ilość biurowych spinaczy, kilka paczek maszynowego papieru formatu A4, a także dużo arkuszy pakowego papieru przyciętego tak, żeby mógł z niego sporządzać obwoluty. Po czym przystąpił do wyjątkowo trudnej, żmudnej pracy, która zajęła mu trzy lata! Cierpliwie układał zadrukowane ścinki, dopasowując ich treść zdanie po zdaniu. Układał paski na papierze A4, każdy pasek spinał na brzegach spinaczami i tak dzień po dniu, rok po roku, uparcie uporządkował ów chaos, aż zrekonstruował treść komentarzy prof. Litwina. Efektem jego pracy są glosy ułożone według kategorii sądowych orzeczeń. Opracował ich własną systematykę i sporządził kartotekę przedmiotową tej rękopiśmiennej kolekcji. Opublikował także artykuł, w którym opisał metodę rekonstrukcji materiału i wewnętrzną strukturę glos. Jest to swego rodzaju przewodnik po tym olbrzymim i bogatym materiale. Niestety, Jerzemu Tyneckiemu nie dane było doczekać się czytelników, którzy korzystaliby z owoców jego trudu i satysfakcji z rezultatów tytanicznej pracy. Zginął pod kołami tramwaju na początku stycznia 1992 r. Miał 57 lat.

Z dniem 1 października 1973 r. zostałem kierownikiem Sekcji Wydawnictw Zagranicznych w Oddziale Gromadzenia Zbiorów. Tutaj praca polegała przede wszystkim na kontaktowaniu się ze światem zewnętrznym: antykwariatami, księgarniami, wydawnictwami, Ośrodkiem Rozpowszechniania Wydawnictw Polskiej Akademii Nauk i Ars Polona w Warszawie. Do tego dochodził codzienny odbiór przesyłek z książkami, rozmowy telefoniczne z dostawcami, pisma do kontrahentów, monitorowanie wydawców itd. Ciekawą czynnością było także sprawdzanie

księgarskich ofert w katalogach Biblioteki, a rozpakowywanie paczek z nowymi książkami miało zawsze coś z niespodzianej przygody. Książki wydawane na Zachodzie różniły się od ówczesnych książek polskich. Kolorowe okładki, dobry papier, miły, specyficzny zapach papieru i drukarskiej farby powodował, że z przyjemnością obcowało się z tymi drukami.

Atrakcyjność pracy w Oddziale Gromadzenia polegała i na tym, że raz w roku jechało się do Warszawy na Międzynarodowe Targi Książki. Mimo codziennych wczesnych wyjazdów i wieczornych powrotów do Łodzi i zmęczenia, bardzo lubiłem tę pracę. Miałem bowiem świadomość, że decyżją o zakupie książki kształtuję i wzbogacam księgozbiór Biblioteki. No i możliwość chociażby pobieżnego zapoznawania się z najnowszymi publikacjami z całego niemal świata. Lubilem atmosferę Targów: tłumy zwiedzających, stosy kolorowych katalogów księgarskich, rozmowy w obcych językach, zapach eleganckich perfum i cygar. Spotykało się znajomych z innych bibliotek przy obiedzie w sławnej restauracji „Trojka”.

Na Targi jechały zazwyczaj 3–4 osoby. Zawsze Janusz Dunin, kierownik Oddziału, który razem z nami przeglądał książki na stoiskach, sporządzał opisy, rozmawiał z wydawcami, podtrzymywał stare i nawiązywał nowe kontakty. Pracowaliśmy w pośpiechu. Tempo narzucała konieczność terminowego składania zamówień w Ośrodku Rozpowszechniania Wydawnictw Polskiej Akademii Nauk i w Ars Polona. W czasach centralizacji, biblioteki nie miały możliwości bezpośredniego zamawiania książek lub czasopism u zagranicznych wydawców, nie tylko zachodnich, ale także z krajów socjalistycznych. Zakupy ograniczał limit przyznaných Bibliotece dolarów i dlatego bardzo często, z poczuciem dużej straty, trzeba było dokonywać selekcji wybranych książek.

Ponieważ dewiz nigdy nie wystarczało na kupowanie wartościowych zachodnich książek, Janusz Dunin postanowił wykorzystać możliwość bezdewizowej wymiany naukowych publikacji. Po 2–3 latach Biblioteka miała już ożywione kontakty z wieloma liczącymi się bibliotekami i naukowymi instytucjami w NRF, Anglii, Francji i w USA. Otrzymywaliśmy tą drogą bardzo dużo wartościowych książek.

Ważną rolę w wymianie odegrał monachijski antykwariat Kubon & Sagner. Powstał w roku 1947 i od początku specjalizował się w literaturze naukowej i politycznej krajów Europy Wschodniej. Z biegiem lat stał się jednym z największych w RFN. Pamiętam dobrze wizyty pana Otto Sagnera. Starszy, sympatyczny mężczyzna, przyjeżdżał samochodem z dużym bagażnikiem. Powitanie, kawa, chwila rozmowy w języku polskim, którego Sagner sam się nauczył i schodziliśmy do piwnicy, gdzie gromadzone są i dzisiaj dublety i wydawnictwa zbędne. Sagnera interesowały wyłącznie książki i broszury propagandowe, partyjne materiały szkoleniowe, uchwały zjazdów PZPR i KPZR oraz inne publikacje dotyczące

marksizmu, leninizmu i stalinizmu. Na koniec sporządzaliśmy wykaz wytypowanych przez Otto Sagnera publikacji i ładowaliśmy je do bagażnika i na siedzeniach. Przed odjazdem Dunin wręczał Sagnerowi wykaz potrzebnych Bibliotece książek. Po kilku tygodniach lub miesiącach, listonosz zwał na podłogę w pokoju Dunina stos paczek, w których pachniały świeżą drukarską farbą angielskie, niemieckie i amerykańskie książki humanistyczne, przyrodnicze, matematyczne. Nurtowało pracowników Oddziału, pytanie: po co Otto Sagnerowi ta polityczna makulatura? Otóż Antykwariat Kubon & Sagner sprzedawał komunistyczne publikacje europejskim i amerykańskim ośrodkom sowietologicznym, zajmującym się badaniem komunizmu w krajach socjalistycznych – przede wszystkim w Związku Radzieckim. Sagner nie tylko od nas dostawał książki, jeździł też do innych bibliotek w Polsce i do ZSRR, skąd również bez problemów wywoził polityczną literaturę. Otto Sagnera interesowały także polskie książki naukowe – te wysyłaliśmy mu pocztą. Rozprowadzał je dalej do wielu niemieckich bibliotek. I za te publikacje otrzymywaliśmy od niego potrzebne książki zachodnie. Współpraca z antykwariatem Kubona i Sagnera była dla Biblioteki bardzo korzystna.

336

Szczególnie dynamiczna stała się wymiana z polskimi emigracyjnymi ośrodkami kulturalnymi, ale była to droga niełatwa, najeżona kłopotami, które sprawiał Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Każda paczka książek wysłana przez polskie instytucje na Zachodzie była rekwirowana. Bardzo często urząd nie powiadamiał o tym Biblioteki i dopiero z korespondencji między BUŁ a nadawcą dowiadywaliśmy się, że książki dawno wysłano. Wtedy Janusz Dunin uruchamiał biurokratyczną procedurę: powiadamiał pismem dyrektora Biblioteki, ten zaś pisemnie prosił rektora UŁ o interwencję. Jedno pismo rektora nie wystarczało, słano więc następne, urząd cenzorski najczęściej nie odpowiadał. Wtedy Janusz Dunin, albo Michał Kuna, z upoważnienia rektora UŁ, udawali się na rozmowę z cenzorami. Trwało to długo, wymagało uporów, i konsekwencji, kosztowało sporo wysiłku i czasu, ale w końcu książki w większości zwracano. Dzięki temu kolekcja druków emigracyjnych jest liczna, bogata w pozycje znaczące, reprezentatywne dla dziejów powojennej emigracji i polskiej kultury na obczyźnie.

W Oddziale Gromadzenia panowała koleżeńska atmosfera i skłonność do pomagania sobie w nawale pracy. Wpływ na relacje między nami miał niewątpliwie Janusz Dunin, który był człowiekiem otwartym, łączył ludzi, a nie dzielił, nie był drobiazgowy. Potrafił sprawiedliwie ocenić pracę każdego z nas. Imponował księgoznawczą erudycją. Szczególnie znał się na tzw. literaturze jarmarcznej, którą gromadził w domowej bibliotece i której poświęcił swoją badawczą, naukową pasję. Świetnie znał rynek antykwaryczny w Polsce i uczestnicząc w aukcjach, nabywał dla Bi-

blioteki wiele wartościowych książek. W latach 1984–1987 był dyrektorem Biblioteki, potem profesorem w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej. Dwa, trzy razy gościłem w jego mieszkaniu i oglądałem niezwykłą kolekcję powieści zeszytowych, komiksów, literatury brukowej, kramarskiej, pierwszych książek dla dzieci. Zbierał także ekslibrisy, był ich wytrawnym znawcą. Janusz – znakomity gawędziarz, o dużym poczuciu humoru, dowcipny i towarzyski.

Z czasów pracy w Oddziale Gromadzenia datuje się moja bliższa znajomość z Bogumiłem Karkowskim, poznałem go już wcześniej, gdy pomagał w Wypożyczalni Miejscowej. Bogdan był zadziorny, szedł pod prąd, czasem z rozmysłem wyrażał opinie skrajne, aby wywołać intelektualny ferment i dyskusję. Zajmował się kupnem krajowym i na niejednej aukcji antykwarycznej licytował z powodzeniem cenne dla Biblioteki druki. Podobnie jak Dunin, świetnie orientował się w polskim rynku antykwarycznym. Sumienny i odpowiedzialny, a przy tym koleżeński i uczynny. Miał talent dydaktyczny i organizacyjny oraz dar przekonywania do swoich racji. Lubilem go i ceniłem. Jego wypowiedzi i sądy były zazwyczaj trafne i wyważone. W roku 1975 przeszedł na etat asystenta, a po potem adiunkta w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej. Był także nauczycielem łódzkich szkół średnich. Współpracowaliśmy ze sobą w pierwszym okresie istnienia czasopisma „Folia Librorum”, gdzie pełnił funkcję sekretarza redakcji. Janusz Dunin, Jerzy Andrzejewski i ja byliśmy członkami redakcyjnego zespołu. Warto przypomnieć, że „Folia” były wspólną wydawniczą inicjatywą Biblioteki i Katedry. Naczelnym redaktorem została profesor Hanna Tadeusiewicz. Pierwszy numer ukazał się w roku 1989.

Studia zaoczne w Instytucie Historii UŁ oraz dwuletnie Międzywydziałowe Studium Bibliotekoznawcze, powołane do życia z inicjatywy dyrektora, ukończyłem w marcu 1972 r. Po dwóch tygodniach sekretarka zaprosiła mnie na rozmowę do Świderskiego. Szło o zdawanie przeze egzaminu dla bibliotekarzy dyplomowanych w grudniowej sesji we Wrocławiu. Bronilem się. Po pięciu latach męczącego łączenia pracy ze studiami nie lękałem się kolejnego wysiłku, tym bardziej, że panowała opinia, iż egzamin zdają nieliczni, egzaminatorzy są wymagający zaś egzamin bardzo trudny. Okazało się jednak, że jako absolwent Międzywydziałowego Studium Bibliotekoznawczego będę zwolniony z części egzaminu oraz, że nie będę sam, bo na przystąpienie do egzaminu zdecydowała się Jadwiga Dura z Sekcji Dokumentów Życia Społecznego. Znałem dobrze sympatyczną Jadwigę (obecnie prof. dr hab. Jadwigę Konieczną – kierownika Katedry Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UŁ), ponieważ, niezależnie od naszych kontaktów w pracy, kończyliśmy razem wspomniane Studium.

Egzamin dla kandydatów na bibliotekarzy dyplomowanych przypominał maturę. Najpierw praca pisemna ze streszczeniem w wybranym przez siebie języku obcym. Następnego dnia egzamin ustny. Kandydatów było sporo i przepytywanie trwało długo – trzy dni. Obowiązkowy był egzamin z języka obcego, który polegał na przetłumaczeniu kilku stron fachowego tekstu. Zdanie egzaminu nie oznaczało zatrudnienia na etacie naukowo – dydaktycznym, czekało się dość długo, niekiedy dwa lub trzy lata. Ja czekałem tylko rok.

Następnym miejscem mojej pracy, od 1 października 1974 r., był Oddział Magazynów i Konserwacji Zbiorów, do którego wróciłem jako kierownik, po piętnastu latach od chwili, gdy Waław Drzewiecki uznał, iż Michał Kuna popełnił poważny błąd angażując mnie – chudzielca – do Biblioteki UŁ.

Z okna pokoju kierownika widziałem, po drugiej stronie patia, okna pawilonu, do których zimą 1959/1960 r. brnąłem po śniegu po wetknięcie pod „chorągiewkę” rewersy. Mirek Cieślak i ja spotkaliśmy się więc po latach w tym samym miejscu. Mirek jako kierownik Sekcji Obsługi Czytelniczej znakomicie organizował magazynierom pracę, a nasze relacje układały się bardzo dobrze.

338 Od pracy nad statystykami, protokołami skontrum, protokołami firm introligatorskich, wykazami braków w księgozbiórze, miesięcznymi, kwartalnymi i rocznymi sprawozdaniami itp. wolałem pracę z ludźmi, chętnie pomagałem w Sekcji Inwentarza, a w okresach czytelniczego obłożenia pomagałem na III piętrze Magazynu przygotowywać transporty do Wypożyczalni. Spośród osób pracujących na III piętrze, nie mogę pominąć Marii Dębowskiej, która dbała sumiennie o ład i porządek w kartotekach wypożyczeń. Jej osobista kultura, spokój i szacunek jakim się cieszyła, wpływały kojąco na nierzadko nerwową atmosferę pracy. Obok niej wspominam Wandę Kaczmarską, Stanisława Rybarczyka, Andrzeja Jastrzębskiego, Stefana Łuczyńskiego. Stały, pracujący ze sobą wiele lat zespół był wartością samą w sobie. Negatywnym zjawiskiem było to, że nowi młodzi ludzie odchodzili po dwu, trzech miesiącach, następni też szybko znikali. Brak stabilizacji źle wpływał na pracę Oddziału. Oczywiście przyczyną było niskie uposażenie.

Warto zatrzymać się na nieistniejącej już, niestety, kawiarni i zarazem barze „Piekielko”. Było to miejsce ważne i dla czytelników i dla pracowników. Składająca się z dwu sal kawiarnia, miała w swojej długiej historii czasy dobre i takie sobie. Jedno jest pewne: tutaj toczyło się studenckie życie: nauka, gra w karty, randki, dyskusje. W kawiarni zawsze panował przytłumiony gwar i unosił się dym z papierosów. Niekiedy wszystkie stoliki były zajęte. Niektórzy pracownicy Biblioteki organizowali tutaj przyjęcia z okazji przejścia na emeryturę, a dwa razy odbył się

bibliotekarski karnawałowy bal ostatekowy. Warunkiem uczestnictwa było przebranie się za kogokolwiek lub cokolwiek. Pamiętam pewną puszystą koleżankę, która wspaniale wyglądała jako motyl! Są zdjęcia z tych ostatekowych imprez. Muzykę zapewniała oczywiście Sekcja Muzykaliów. Trzeba też wspomnieć, że w Bibliotece odbywały się uniwersyteckie bale sylwestrowe. Tańczono w hallu, na podium grał zespół muzyczny, stoły z jedzeniem zajmowały aulę, w której nie było jeszcze Sekcji Dokumentów Życia Społecznego.

„Piekiełko” przechodziło różne kulinarne fazy. Na początku lat 60. sprzedawano nawet piwo, co, ku głębokiemu żalowi studentów, skończyło się po dwu, albo trzech miesiącach. Potem pojawiali się ajenci serwujący sporo ciepłych dań, sałatek, kanapek, ciastek i napojów. Kulinarne ambicje kończyły się plajtami, bo ceny nie były obliczone ani na studencką, ani bibliotekarską kieszeń. W czasach kartek na żywność, kawiarnia okresowo stawała się sklepem mięsnym, w którym pracownicy BUŁ i UŁ zaopatrywali się w deficytowe wówczas przysmaki: szynkę, kiełbasę, wieprzowinę, wołowinę. Wtedy „Piekiełko” przemieniało się w kolejkowe piekło... Po powrocie do ekonomicznej normalności kawiarnia znowu stała się tym, czym powinna być.

Po lewej stronie, przy drzwiach wejściowych, stały dwa stoliki zarezerwowane dla pracowników Biblioteki. Przy nich, codziennie o 10.00, w porze drugiego śniadania, zasiadali, chociaż nie każdego dnia w tym samym składzie: Michał Kuna, Jerzy Andrzejewski, Krystyna Bielska, Janusz Dunin, Bogumił Karkowski i ja. Czasami przysiadł się Jerzy Tynecki. Wymieniano poglądy na wiele spraw bibliotecznych, kłócono się, rodziły się pomysły dotyczące pracy Biblioteki, omawiano politykę zakupów antykwarycznych, radzono nad ciasnotą w magazynie, planowano publikacje dokumentujące cenne kolekcje i debatowano nad wieloma innymi sprawami, mieszcząc się w przeznaczoną na śniadanie pół godziny. Dominował Michał Kuna, ale nikomu nie narzucał swojego stanowiska. Przysłuchiwanie się tym rozmowom było świetną szkołą, znakomitym praktycznym szkoleniem, odległym od książkowych teorii.

Michał Kuna był dwukrotnie wicedyrektorem Biblioteki (1959–1973 i 1981–1983), organizatorem i wieloletnim kierownikiem Oddziału Zbiorów Specjalnych, księgoznawcą, bibliofilem, kolekcjonerem ekslibrisów i grafiki, prezesem Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki i znakomitym wykładowcą. Cieszył się wyjątkowym autorytetem i był bardzo lubiany z powodu swojego bezpośredniego, sposobu bycia i gotowości do rozmowy na zawodowe tematy z każdym, kto się do niego zwracał. Interesował się sytuacją młodych pracowników, niektórych czasem wspierał materialnie. Słuchałem jego wykładów jako student Międzywydziałowego Studium Bibliotekoznawczego. Był świetnym mówcą i słuchaczy zawsze

nękał dylemat: słuchać, czy notować? Przejrzyście i jasno mówił, tak też pisał. Czynny, ruchliwy, nie potrafił długo usiedzieć w swoim pokoju, krążył po agendach Biblioteki, najczęściej przebywał w którejś z sekcji zbiorów specjalnych, w magazynie, albo w introligatorni, więc był wiecznie poszukiwany. Na korytarzach słyszało się często takie pytania: „Nie widziała pani Kuny? Szukam go i szukam...” Może wiesz, gdzie jest Kuna? Mam do niego ważną sprawę, a on gdzieś się ulotnił”. Ktoś ukuł nawet takie powiedzenie: „Kuna jest jak Pan Bóg. Wiadomo, że jest, ale nikt go nie widział”. Rozmowa z Michałem Kuną była zawsze kształcąca, szczerze dzielił się swoją wiedzą, doradzał w sprawach trudnych.

Jerzego Andrzejewskiego poznałem w Wypożyczalni Miejscowej, gdy pomagał w okresach nasilenia pracy przy obsłudze czytelników. Chyba nie pracował nigdzie poza Oddziałem Zbiorów Specjalnych. Tam, po ukończeniu studiów i zdaniu egzaminu dla bibliotekarzy dyplomowanych, został powołany na stanowisko kierownika Sekcji Rękopisów. Był najbliższym współpracownikiem Michała Kuny, który upatrywał w nim swojego następcę jako kierownika Oddziału. Objął to stanowisko po odejściu Kuny na emeryturę. Michał Kuna był dla Jurka wzorcem intelektualnym i osobowościowym. Łączyła ich relacja mistrz – uczeń i to „terminowanie” oraz naukowe zainteresowania Jurka sprawiły, że stał się wkrótce autorytetem w wielu zagadnieniach bibliotekarstwa i księgoznawstwa. Pisał i publikował dużo. Jego dorobek obejmuje metodologię bibliografii, problematykę opracowania zbiorów specjalnych, papiernictwa, dziejów łódzkiego drukarstwa, konserwacji książki, bibliofilstwa, budownictwa bibliotecznego i czytelnictwa. Z historii czytelnictwa napisał rozprawę doktorską pod kierunkiem wybitnego księgoznawcy, twórcy nauki o książce prof. Krzysztofa Migonia z Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej w Uniwersytecie Wrocławskim, w którym Jerzy studiował. Podobnie jak Michał Kuna był dwukrotnie wicedyrektorem Biblioteki (1984–1987 i 2000–2008).

Moja z Jerzym, długoletnia znajomość przechodziła kilka faz. Od bardzo bliskich kontaktów w latach 70., przez nieco chłodniejsze w późniejszym okresie, do kilku lat bliskiej współpracy, gdy Jerzy zgodził się, objąć w roku 2000 stanowisko wicedyrektora, a kilka lat później – seniora budowy nowego gmachu Biblioteki.

Jerzy Andrzejewski, Bogdan Karkowski i ja, byliśmy najmłodszymi uczestnikami kawiarnianych dysput toczonych przy drugim śniadaniu. Nazywano nas „trójką biblioteczną”, bo często przebywaliśmy razem, dyskutując zawzięcie w kawiarni przy kawie, siedząc popołudniami w ciasnej celce Karkowskiego nad tekstami do „Foliów”, albo wychodząc razem po pracy na piwo. Utkwił mi w pamięci pomysł Bogdana, stawiający na głowie istniejący i – wydawałoby się, oczywisty system płac. Rozpoczynający pracę młody człowiek powinien, jego zdaniem, otrzymywać

nie najniższą, ale najwyższą pensję, żeby startując w życie mógł sobie kupić mieszkanie, meble, telewizor, samochód i zapewnić rodzinie godziwą egzystencję. Od pewnego momentu jego pensja byłaby jednak systematycznie pomniejszana tak, aby na starość zarabiał tyle, ile potrzeba dla zaspokojenia elementarnych potrzeb. Stary człowiek dorobił się już wszystkiego, więc nie ma takich wydatków jak młody – twierdził Bogdan.

Zbliżała się druga rocznica mojej pracy na stanowisku kierownika Oddziału Magazynów i Konserwacji Zbiorów, gdy zostałem poproszony na rozmowę do dyrektora.

Bolesław Świdorski objął stanowisko dyrektora BUŁ w październiku 1969 r. po odejściu na emeryturę prof. Heleny Więckowskiej. Był człowiekiem bardzo opanowanym, wydawałoby się, że pozbawionym emocji. Sprawiał wrażenie chłodnego, ale moje częste z nim kontakty, szczególnie w latach 1976–1979 przeczyły temu. Na określenie powierzchowności czyichś poglądów lub bylejałości wykonanej pracy używał powiedzenia: „dziobanie po krawędziach”, które weszło do języka pracowników Biblioteki. Zarzucano mu niekiedy, że na zbyt wiele spraw patrzy „z lotu ptaka”, ale on uważał, że jego poprzedniczka zapewniła bezawaryjne, spokojne funkcjonowanie biblioteki i nie ma powodów do radykalnych zmian. Wystarczyło, według niego, tylko dokonać czasem drobnych korekt wymuszanych przez doraźne potrzeby.

Interesował się zagadnieniami informacji naukowo-technicznej. Brał udział w ogólnopolskich naradach poświęconych tym problemom, wysyłał pracowników do Głównej Biblioteki Medycznej dla zapoznania się z systemem informacji medycznej MEDLARS. Przedstawiciele BUŁ uczestniczyli w pracach nad specjalizacją bibliotek i ośrodków informacji naukowej, nie wiązały się one jednak z kompleksową automatyzacją prac bibliotecznych – nie było wtedy takich możliwości. Pamiętam, że w uczelni i Bibliotece za sukces uznano usługę, dostarczania pracownikom naukowym kserokopii spisów treści z ponad 400 tytułów czasopism zagranicznych. Wówczas było to osiągnięcie, które przydawało Bibliotece znaczenia jako ośrodka informacji naukowej.

Dyrektor czytał systematycznie angielskie, amerykańskie i niemieckie fachowe czasopisma i książki, traktujące o automatyzacji tamtejszych bibliotek. Dzielił się treścią lektur na zebraniach kierowników oddziałów, zobowiązał też kilka osób do referowania wskazanych przez siebie artykułów i rozdziałów książek. Komputer i komputeryzacja były jednak pojęciami obcymi, nikt jeszcze nie widział komputera, osobiste komputery nie istniały, zachodnie biblioteki były zbyt odległe, nic zatem dziwnego, że opiniotwórczy śniadaniowy stolik w kawiarni żywo, ale chłodno komentował wizję dyrektora jako nierealne mrzonki. Okazało się z biegiem czasu, że teoretyczne rozprawianie o komputeryzacji na podstawie lektur to rzeczywiście za mało.

Codzienne życie Biblioteki umilała od czasu do czasu muzyka fortepianowa – nieco przytłumioną, słychać było w całym gmachu. Grał dyrektor Świdorski! Otóż, wkrótce po jego przeprowadzce z Poznania do Łodzi, w mieszkaniu po prof. Więckowskiej ustawiono fortepian – dlatego w porze drugiego śniadania dobiegały do naszych i czytelników uszu utwory Schumanna, Chopina, Mozarta. Koncertował jednak, rzadko. Należy wyjaśnić, że profesor Helena Więckowska mieszkała w Bibliotece w latach 1959–1969 w małym pokoju z łazienką, na parterze, zaraz za amfiladą pomieszczeń Oddziału Opracowania Alfabetycznego.

Wracam do dnia, kiedy sekretarka zawiadomiła o oczekującej mnie rozmowie z dyrektorem. Poinformował mnie, że Krystyna Pieńkowska złożyła rezygnację z funkcji wicedyrektora (trzy lata wcześniej, w roku 1973 na własną prośbę przestał być wicedyrektorem Michał Kuna) i poprosił mnie o objęcie tego stanowiska z jednoczesnym dalszym kierowaniem Oddziałem Magazynów i Konserwacji Zbiorów. Nie skoczyłem z radości i poprosiłem o czas do namysłu, bo uświadomiłem sobie, że oto nagle miałbym z dnia na dzień, zostać przełożonym Michała Kuny, dr. Janusza Dunina, Krystyny Pieńkowskiej, i kierowników: Mariana Balceraka (Czytelnia Główna), dr Ireny Treichel (Oddział Prac Naukowych), Wandy Frontczakowej (Oddział Informacji Naukowej), Weroniki Kubickiej (Oddział Opracowania Przedmiotowego), Janiny Racięckiej (Oddział Bibliotek Zakładowych), dr Janiny Jaworskiej, dr Hanny Tadeusiewicz, Krystyny Kamińskiej, Krystyny Bielskiej, Władysławy Skibińskiej, Jadwigi Bogusławskiej. Wszystkie te osoby miały w swoim dorobku publikacje naukowe i bibliograficzne, duży staż zawodowy, były znane i cenione w środowisku bibliotekarskim Łodzi i w Polsce. Niepokoiły mnie też kontakty z administracją uczelni. Nikogo tam nie znałem. I byłbym sam – wtedy wicedyrektor był jeden. Do tego dochodziły jeszcze obowiązki kierownika oddziału. Moje niepokoje i obawy ustąpiły po rozmowie z Michałem Kuną. 1 października 1976 r. objąłem zaproponowaną mi funkcję.

W poszukiwaniu możliwości zastosowania w BUŁ narzędzi nowoczesnej informacji naukowej, dyrektor Świdorski wysłał mnie do Biblioteki Głównej i Ośrodka Informacji Naukowo-Technicznej Politechniki Wrocławskiej. Działał tam, w ramach Wielodostępnego Abonenckiego Systemu Cyfrowego (WASC), system Selektywnej Dystrybucji Informacji. W Centrum Obliczeniowym pracowały pierwsze maszyny cyfrowe – Odra, połączone z terminalami na kilku wydziałach i w bibliotece głównej. W ramach WASC abonowano zachodnie bazy streszczeń artykułów naukowych na dyskach taśm magnetycznych, z nich zaś Odra generowała streszczenia z określonego tematu (profilu) zamówionego przez użytkownika. Usługę taką realizowano także na zamówienie instytucji naukowo-badawczych w kraju. Oprócz systemu wyszukiwania i udostęp-

niania informacji działały podsystemy opracowania druków zwartych, gromadzenia i opracowania wydawnictw ciągłych.

Wizyta we Wrocławiu nie miała skutków praktycznych. W Ośrodku Obliczeniowym Instytutu Organizacji i Zarządzania UŁ pracowała ODRA, ale nie było woli władz i szefów Ośrodka oraz pieniędzy na prenumeratę dysków z bazami danych. Uważano też, że w humanistycznej uczelni, poza pracownikami nauk matematycznych i przyrodniczych, nikt nie będzie z nich korzystał. Kupowanie tematycznych profili od Politechniki Wrocławskiej też było droższe niż sporządzanie kserokopii spisów treści naukowych czasopism. Ewentualna adaptacja na potrzeby BUŁ podsystemów maszynowego gromadzenia i opracowania zbiorów nikogo nie interesowała.

W październiku 1979 r. odszedłem z Biblioteki UŁ na etat naukowo-dydaktyczny w Zakładzie Historii Myśli Politycznej w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Politycznych UŁ. Zakładem kierował prof. dr hab. Andrzej F. Grabski, wybitny historyk historiografii polskiej i europejskiej, od roku 1978 promotor mojej rozprawy doktorskiej. Nie zerwałem kontaktów z Biblioteką. Przychodziłem często, sprawy Biblioteki znałem na bieżąco z rozmów z Jerzym Andrzejewski, Michałem Kuną, Januszem Duninem i innymi pracownikami.

Janusz Dunin kończył kadencję dyrektora BUŁ z dniem 30 września 1987 r. Zamierzał całkowicie poświęcić się pracy naukowo-dydaktycznej w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej. Zdecydowałem się kandydować. Kontrkandydatem był dr Jerzy Andrzejewski. W drugim głosowaniu Rady Bibliotecznej uzyskałem wymaganą liczbę głosów. Z dniem 1 października Rektor UŁ powołał mnie na stanowisku dyrektora Biblioteki UŁ. Objęcie stanowisk wicedyrektorów zaproponowałem Teresie Kalas (kierownik Oddziału Magazynów i Konserwacji Zbiorów) i Halinie Rosieckiej (kierownik Oddziału Bibliotek Zakładowych). Obie zgodziły się i miałem w nich fachowe i koleżeńskie wsparcie, pomoc i życzliwą radę.

Po objęciu stanowiska dyrektora spotykałem się z Duninem, żeby zapoznać się ze sprawami rozpoczętymi w jego kadencji. W roku 1985 zakończono opracowanie założeń technicznych i ekonomicznych rozbudowy Biblioteki. Zostały zaakceptowane przez władze UŁ i Zarząd Inwestycji Szkół Wyższych w Łodzi oraz Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Planowano budowę magazynu książek, który miał być przedłużeniem obecnego. Współautorem tych założeń był Jerzy Andrzejewski, we współpracy z mgr inż. architektem Jerzym Wiśniewskim. W nowym magazynie przewidywano regały kompaktowe i podwieszane transportery dla szybkiego przesyłania książek do czyteln i Wypożyczalni. Inwestycja ta nie została zrealizowana przez biurokrację dyrekcji

Zarządu, a przede wszystkim z braku funduszy. Dobrze się stało, bo dzisiaj mielibyśmy dwa pełne magazyny, długą drogę książki, no i nie byłoby nowego gmachu i wolnego dostępu do księgozbioru.

Drugą sprawą było nawiązanie współpracy z British Council w Warszawie. Zgodnie z umową między UŁ a British Council w Łodzi powstała Czytelnia i Biblioteka Brytyjska podległa dyrektorowi BUŁ. Remontowano dla niej była studencką stołówkę, zwaną „Gęsiakiem”, przy ul. Piotrkowskiej 45. Z ramienia British Council tworzenie się tej placówki nadzorował Russell Drury, zaś kierownikiem została Agnieszka Teresińska. Prace remontowe zakończono w ostatniej chwili i w listopadzie 1988 r. czytelnię uroczyście otwarto. Lokal był obszerny, wyposażenie angielskie, wszystko w pastelowych kolorach, co odróżniało czytelnię od szarzyzny bibliotek polskich. Uczelnia opłacała pracowników, ponosiła koszty remontu i bieżącego utrzymania lokalu. Anglicy dostarczali książki, gazety i czasopisma. Czytelnia Brytyjska miała charakter biblioteki publicznej korzystali z niej przede wszystkim nauczyciele angielskiego, uczniowie szkół średnich, uczestnicy kursów językowych i nieliczni studenci i pracownicy naukowci. Podstawowym jej zadaniem było propagowanie kultury brytyjskiej. W 1990 r. czytelnię przeniesiono na Plac Wolności, do budynku obok Starego Ratusza, po dwu lub trzech latach, z powodu wysokiego czynszu, do kamienicy przy ul. Jaracza, aż wreszcie Czytelnia Brytyjska znalazła swoje miejsce w gmachu Biblioteki UŁ.

Od wielu lat dobrze funkcjonowała umowa o współpracy między naszą uczelnią a Uniwersytetem Justusa-Liebiga w Giessen. Uwzględniała ona coroczną, tygodniową wymianę pracowników bibliotek obu uczelni. Jako pierwszy miał do Giessen jechać Janusz Dunin. Pobyt, zaplanowany z rocznym wyprzedzeniem, wypadł już po zmianie kadencji, więc do Giessen pojechałem ja.

Przyjął mnie dr Bernhard Friedmann, bibliotekarz odpowiedzialny za kontakty między naszymi bibliotekami. Przez ponad dwadzieścia następnych lat był kompetentnym przewodnikiem po bibliotece, w swoją misję wkładał wiedzę, życzliwość i troskę o goszczących w Giessen pracowników BUŁ. Absolwent dwu fakultetów: sławistyki i historii (doktorat ze stosunków słowiańsko-germańskich w X w.), znał kilka języków, w tym rosyjski i polski, którego nauczył się sam. Zajmował stanowisko bibliotekarza dziedzinnego, zaś jego żona, Rosa, pracowała w oddziale gromadzenia zbiorów. Friedmann pracy miał bardzo dużo: decydował o zakupie książek z zakresu historii, sławistyki, orientalistyki, anglistyki i politologii, a z malarstwa i architektury, udzielał konsultacji bibliograficznych i merytorycznych studentom i pracownikom naukowym uczelni, szkolił studentów w dostępie do baz danych, zbierał i opracowywał materiały do bibliografii Hesji. Do jego obowiązków należały także kon-

takty z prasą, radiem i telewizją. Ponieważ typował do zakupu publikacje z orientalistyki, ukończył kurs języka tureckiego i arabskiego. No i był odpowiedzialny za współpracę naszych Bibliotek.

W bibliotece w Giessen pracowały wówczas trzy komputery: w oddziale informacji, przy katalogowaniu druków zwartych i katalogowaniu czasopism. Biblioteka wchodziła w skład systemu HEBIS (Hessisches Bibliotheks – und Informationssystem), obejmującego biblioteki naukowe Hesji (Giessen, Marburg, Kassel, Darmstadt, Fulda i Wiesbaden). Te trzy komputery były podłączone do HEBIS przez serwer we Frankfurcie nad Menem. Automatyzacja informacji naukowej i wspólne opracowanie zbiorów przez sześć bibliotek landu robiło wrażenie, chociaż w opinii Friedmanna Hesja była mocno zapóźniona wobec innych landów.

Moje zainteresowanie wzbudził też wolny dostęp do księgozbioru i struktura zawodowa niemieckiego bibliotekarstwa. W polskich bibliotekach naukowych wolny dostęp był źle postrzegany z obawy przed kradzieżami książek. Również wojenne straty dóbr kultury spowodowały chowanie książek w zamkniętych magazynach.

Z inicjatywy Russella Drury dwa pierwsze tygodnie czerwca 1989 r. spędziłem na zwiedzaniu angielskich bibliotek szkół wyższych – w Londynie, Oxfordzie, Nottingham, Sheffield, Manchester i Leeds oraz publicznej w Sutton. Pobyt w Anglii finansowało British Council. Znakomita organizacja sprawiła, że cel mego pobytu – zapoznanie się z automatyzacją – został zrealizowany w stu procentach.

Pobyt w Anglii dał mi wyobrażenie o systemowej automatyzacji bibliotek, współpracy w gromadzeniu zbiorów, tworzeniu baz danych, wspólnym ich udostępnianiu, konieczności zatrudnienia informatyków, o niezbędnej współpracy bibliotekarzy z informatykami i utwierdził mnie w przekonaniu, że nie ma dla nas innej drogi.

Po powrocie przedstawiłem szczegółową relację ze swojego pobytu na zebraniu i poleciłem kierownikom Oddziałów przekazanie informacji pracownikom. Kilka dni po tym zebraniu poprosiła o rozmowę Irena Terlecka, pracownica Oddziału Informacji Naukowej. Okazało się, że bardzo ją interesuje komputeryzacja bibliotek. Irena Terlecka, polonistka z wykształcenia, okazała się pełną pasji i zapału zwolenniczką zapoczątkowania automatyzacji. Lubiana, niezłomna optymistka, miała umiejętność nawiązywania kontaktu i współpracy z ludźmi. Przełamywała sceptycyzm, przekonywała do konieczności unowocześnienia procesów pracy.

W roku 1991 prorektor ds. nauki zgodził się na zakupienie dla Biblioteki czterech komputerów. W Oddziale Informacji Naukowej komputer miał służyć do opracowania kontynuowanej od wielu lat bibliografii dorobku pracowników UŁ. Pozostałe komputery zainstalowano w Sekcji Wydawnictw Zagranicznych, w Sekcji Czasopism Bieżących, w Sekcji Muzykaliów, gdzie służyły tworzeniu roboczych baz.

Zaprosiłem do współpracy Mariusza Robowskiego, z wykształcenia informatyka i pracownika Katedry Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej. Za jego radą zainstalowano program MAK, przydatny do tworzenia niewielkich baz i użyto go do opracowywania bibliografii dorobku pracowników UŁ. W roku 1992 zakupiono od Biblioteki Narodowej *Przewodnik Bibliograficzny* na dyskietkach. Wkrótce został zatrudniony na ½ etatu informatyk Piotr Canova, który napisał programy dla Sekcji Muzykaliów, Sekcji Czasopism Bieżących i Sekcji Wydawnictw Zagranicznych.

Kolejnym etapem było zainstalowanie w Oddziale Informacji Naukowej (rok 1993) sieci komputerowej Novell Net Ware 3.11. Umożliwiono czytelnikom korzystanie, na ośmiu stanowiskach, z dysków CD-ROM, Internetu i światowych baz. W pracowni Oddziału zainstalowano pięć stanowisk. W BUŁ pracowało wówczas już dwóch informatyków: Piotr Canova i Jarosław Dziąg, Irena Terlecka ukończyła Podyplomowe Studium Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej w Uniwersytecie Wrocławskim, ale jej entuzjazm i zapał już nie wystarczał, konieczne stało się utworzenie jednostki organizacyjnej kierującej i nadzorującej komputeryzację.

W roku 1993 przestały pełnić obowiązki wicedyrektorów Teresa Kalas i Halina Rosiecka. Z dniem 7 stycznia 1993 r. wicedyrektorem ds. administracyjnych został mgr inż. Jerzy Andrzejewski. Od 1 grudnia 1993 r. wicedyrektorem została Danuta Rokoszewska (kierownik Czytelni Głównej). Zawsze wysoko ceniłem jej pracowitość, uczynność, odpowiedzialność i umiejętność współpracy z ludźmi. Cieszyła się dużym autorytetem i uznaniem. Inżynier Jerzy Andrzejewski pracował do 31 października 2000 r., kiedy to przeszedł na emeryturę. Pod koniec roku 1999 zaproponowałem dr. Jerzemu Andrzejewskiemu objęcie stanowiska wicedyrektora. Zgodził się i z dniem 1 stycznia 2000 r. został powołany na to stanowisko. Bardzo dobrze nam się współpracowało i miałem w nim kompetentnego doradcę i życzliwego kolegę. Wspominam jak najlepiej, i z dużym uznaniem, doświadczonych i oddanych instytucji pracowników administracji: Zofię Stanisławską, Teresę Kaniewską, Tadeusza Jaźwińskiego, Barbarę Świnogę, a także sekretarki: Halinę Ciszewską, Grażynę Błaszczak i Martę Kuleszę.

W roku 1993 zorganizowałem spotkanie dyrektorów ośmiu bibliotek szkół wyższych Łodzi z udziałem dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. J. Piłsudskiego. Zaproponowałem utworzenie (wzorem innych bibliotek w dużych ośrodkach akademickich) konsorcjum, celem wspólnego wystąpienia do działającej wówczas w Polsce Fundacji Andrew W. Mellona (USA) o grant na zakupienie systemu i sprzętu komputerowego. Dyrektorzy zaakceptowali ideę i decyzją Konferencji Rektorów Szkół Wyższych Łodzi z dnia 7 stycznia 1994 r., powstał Międzyuczelniany Zespół Biblioteczny (MZB). Wkrótce opracowano wspólny wniosek o grant, który Fundacja w wysokości 1 000 000 USD przyznała

łódzkim 10 bibliotekom w dwu ratach (w roku 1995 i 1997). Podjęto decyzję o zakupieniu systemu Horizon, komputerów oraz trzech serwerów.

W maju 1996 r., dzięki zgodzie rektora, zainstalowano sieć LAN na 105 gniazd oraz powołana została Samodzielna Sekcja ds. Komputeryzacji pod kierownictwem Ireny Terleckiej. Pełniła tę funkcję do 16 sierpnia 1999 r. Następnym kierownikiem została Bogumiła Cygan (1999–2001), potem (od 1 sierpnia 2001 r.) Mariola Augustyniak. Nastąpiły też zmiany w grupie informatyków.

Po zainstalowaniu systemu Horizon na serwerach konsorcjum rozpoczęło się w Bibliotece wdrażanie kolejnych modułów, początek współpracy z Narodowym Uniwersalnym Centralnym Katalogiem NUKAT, szkolenia grupy bibliotekarzy w tworzeniu Klasyfikacji Biblioteki Kongresu Stanów Zjednoczonych (w związku z planowanym wolnym dostępem do księgozbioru w nowym gmachu). Przedstawiciel BUŁ uczestniczył w pracach zespołu zarządzającego projektem i Międzyuczelnianego Zespołu Bibliotecznego. Pojawiały się nowe, nieznane problemy i wkrótce złożyłem rektorowi UŁ wniosek o utworzenie stanowiska wicedyrektora ds. komputeryzacji. Rektor zaakceptował ten wniosek a ja zwróciłem się z propozycją przyjęcia tej funkcji do Marii Wrocławskiej, którą poznałem jako aktywną i kompetentną uczestniczkę zebrań MZB z ramienia Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. Wyraziła zgodę i z dniem 1 lutego 2001 r. objęła to stanowisko. Energiczna, rzeczowa, znająca dobrze strukturę Horizonta koordynowała złożony proces automatyzacji, podejmowała decyzje, które posuwały do przodu działania zmierzające ku kompleksowemu wdrożeniu systemu.

Krytyczną sytuację magazynowania zbiorów przedstawiałem na posiedzeniach Senatu UŁ oraz w pismach kierowanych do rektora UŁ i w rozmowach z prorektorem ds. nauki. Jedno z posiedzeń Kolegium Rektor-skiego, na które zostałem zaproszony, poświęcone były wyłącznie sytuacji lokalowej Biblioteki. Te starania zostały uwieńczone decyzją rektora UŁ prof. dr. hab. Stanisława Liszewskiego o zleceniu opracowania projektu budowy nowego gmachu BUŁ, z wolnym dostępem do księgozbioru. Opracowania projektu architektonicznego i założeń ekonomicznych podjął się inż. arch. Jerzy Wiśniewski we współpracy z dr. Jerzym Andrzejewskim. Wydawało się, że budowa rozpocznie się niebawem, gdy tylko Senat UŁ podejmie uchwałę w tej sprawie. Niestety rozbudowa BUŁ odwlekła się o trzy lata – Senat w 1997 r. zdecydował o zbudowaniu najpierw gmachu Wydziału Zarządzania. Najbogatszy w uczelni Wydział dysponował dużymi, własnymi funduszami na inwestycje, Biblioteka pieniędzy nie miała.

W roku 2002 ogłoszono przetarg na projekt „Rozbudowa budynku Biblioteki UŁ”. Nadesłano kilkanaście prac. Po wielu naradach i dyskusjach komisja przetargowa wybrała projekt autorstwa inż. arch. Jerzego

Pietkiewicza. Ku mojemu i Jurka Andrzejewskiego zaskoczeniu i rozczarowaniu przepadła koncepcja inż. Jerzego Wiśniewskiego, z którym Jerzy kilka lat współpracował. Po rozstrzygnięciu przetargu złożyłem wniosek o powołanie dr. Jerzego Andrzejewskiego na funkcję seniora budowy. Wiem jak niekiedy trudno układała mu się współpraca z uczelnianą administracją, jak ostro protestował przeciwko decyzjom, które zmieniały przyjęte założenia architektoniczne, ale uparcie walczył i stawiał na swoim. Wiele funkcjonalnych rozwiązań w nowym budynku jemu należy zawdzięczać.

Uroczystość podpisania aktu erekcyjnego oraz położenia kamienia węgielnego odbyła się w dniu 13 października 2003 r. z udziałem rektora UŁ prof. dr. hab. Wiesława Pusia, premiera RP Leszka Millera, ministra finansów Andrzeja Raczko, prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego oraz członków Senatu UŁ. Natomiast uroczyste otwarcie nowego budynku Biblioteki UŁ miało miejsce 24 maja 2006 r. Brałem w niej udział już jako zaproszony przez rektora UŁ emeryt.

Biblioteki to przecież nie tylko pracownicy i zbiory, ale i czytelnicy, dla nich biblioteki istnieją. Bywali i mam nadzieję, że nadal pojawiają się czytelnicy, którzy traktują bibliotekę jak swój drugi dom (jakkolwiek nie zawsze wychodzi to bibliotekom na dobre). Warto przybliżyć sylwetki trzech czytelników, trzech osób niezwykle, a przez wiele lat charakterystycznych i rozpoznawalnych w przestrzeni biblioteki.

W latach 60. pojawiał się ubrany w mocno spraną i sfatygowaną wojskową kurtkę i takież spodnie pan B., który najpierw szedł do toalety gdzie się mył, a następnie siadał na parapecie okna dużego hallu i jadł śniadanie złożone z bułki i mleka pitego prosto z butelki. Bułkę przegryzał czosnkiem. Potem szedł do Czytelni Głównej a tam jego stałą i jedyną lekturą były wszelkie encyklopedie, które czytał od litery „A” do litery „Z” informując z dumą raz po raz dyżurujących pracowników do jakiej litery dotarł. Poranna porcja czosnku sprawiała, iż czytelnicy przenosili się do odległych od pana B. stolików. Składali także skargi domagając się od dyrekcji interwencji w sprawie zapachu jaki za przyczyną B. dominował w czytelnianej sali. Pan B. był więc zapraszany na rozmowy do wicedyrektora, ale z tych wizyt nic nie wynikało: poranne toalety i śniadanie na parapecie z czosnkiem jako przysmakiem były przez B. uporczywie kontynuowane. Zdecydowano, że rozmówi się z nim sama pani dyrektor, profesor Helena Więckowska. Rezultatem tego spotkania było to, iż pan B. zadeklarował publicznie, wywieszając własnoręcznie napisane ogłoszenia, że darzy profesor H.W. głębokim i szczerym uczuciem, stara się o jej rękę i że zaprzestanie porannych ablucji oraz porzuci ulubiony czosnek wówczas, gdy naczelna dyrektor BUŁ zgodzi dzielić z nim życie. Przed tymi ogłoszeniami, mimo iż były szybko likwidowa-

ne przez pracowników biblioteki, gromadziły się grupy rozbawionych do łez studentów. Pewnego dnia B. zniknął i nie pojawił się więcej. Cofernięto mu prawo korzystania z biblioteki.

Po niezapomnianym panu B. zapisał się do biblioteki pan S. Wkrótce okazało się, że jego ambitnym zamiarem jest przeczytanie wszystkich książek jakie biblioteka zgromadziła. Dążąc do realizacji tego celu S. zasiadał codziennie w katalogu alfabetycznym i wypisywał rewersy na druki zwarte od litery „A”. Składał je w Czytelnii Głównej w liczbie od 50 do 60. Gdy magazynierzy zamówienia zrealizowali S. siadał przy stoliku ze stołem książek przed sobą i zamiast czytać przerzucał pospiesznie kartki ledwie muskając wzrokiem ich treść, zamykał książkę i sięgał po następną postępując tak samo jak z poprzednią. W ten niezwykle i radykalny sposób zaspokoiwszy swoją intelektualną ciekawość, oddawał książki, schodził do katalogu i po godzinie przynosił kolejne setki rewersów. Proszono pana S., żeby nie wypisywał tylu zamówień naraz bo to dezorganizuje pracę magazynu, spowalnia realizację rewersów innych czytelników. Pan S. był głuchy na te prośby, a nawet zachowywał się agresywnie, powoływał się na regulamin biblioteki, który w ówczesnej wersji nic nie mówił o liczbie składanych rewersów. Pan S. czasem wyrażał podniesionym głosem pogląd, że formułowane pod jego adresem uwagi to szykany. Sprawa ta trafiła w końcu pod obrady kolegium dyrektorskiego BUŁ. Uznano, że należy wprowadzić do regulaminu zapis o ograniczeniu składanych do czytelni rewersów do 10. Ta decyzja zniechęciła chyba pana S. bo wkrótce przestano go widywać w bibliotece ku ogromnej uldze magazynierów.

Nietuzinkowym człowiekiem był pan J.K., który wiele, wiele lat korzystał z biblioteki „od świtu do nocy” i nie ma żadnej przesady w tym określeniu. Przychodził pierwszy a opuszczał gmach ostatni. Najchętniej korzystał z Czytelni Głównej, ale nie potrafił długo usiedzieć i raz po raz wstawał, wychodził i krążył po gmachu paląc niezliczone ilości papierosów, a także godzinami przesiadywał w „Piekietku” pijąc tylko kawę. Nie przywiązywał uwagi do swojego wyglądu. Nosił nieco wymięty garnitur, często był nieogolony i jakoś zaniedbany. Zamawiał do Czytelni sporo książek, ale też dużo pisał w cienkich uczniowskich zeszytach w tzw. trzy linie. Intrygowało nas nad czym dzień w dzień J.K., pracuje, ale nikt oczywiście nie śmiał pytać. Okazja nadarzyła się w roku 1978. Byłem wtedy wicedyrektorem. Pewnego dnia sekretarka powiadomiła mnie, że przed chwilą odebrała telefon z Czytelni Głównej. Chodzi o pana J.K., który zwykle spokojny i opanowany, nagle wstał i krzyczał na czytelników: „Cisza!, Cisza! Nie hałasujcie tym przewracaniem kartek! Dosyć mam tego hałasu! To mi przeszkadza! Cisza!”. Po chwili weszła do gabinetu pani H.K., która miała wówczas dyżur i opowiedziała szczegółowo o incydencie. Zdecydowała o zatrzymaniu karty bibliotecznego J.K., który wybiegł

wzburzony z czytelni i, jak zeznały szatniarki, opuścił budynek. Po nardzie z panią H.K. ustaliliśmy, że należy ukarać J.K. czasowym zawieszeniem w prawach czytelnika. Pan J.K. nie pojawiał się długo. Minęło kilka miesięcy po tym incydencie, gdy sekretarka powiadomiła mnie, iż przyszedł J.K. i chciałby ze mną porozmawiać. Kiedy usiadł zaproponowałem kawę, a gdy już zapalił papierosa i przełknął łyk powiedział, że bardzo przeprasza za swoje zachowanie w czytelni. Zapytałem wtedy nad czym pracuje, czy zbiera materiały do jakiejś publikacji. Odparł, że tak, że pisze dwie książki. Jedna będzie rozprawą na temat idei schodów, no bo jak kto koło wynalazł, to i schody ktoś, ale od czego się zaczęło? Może od drabiny Jakubowej? A druga książka będzie poświęcona wyglądowi budynków europejskich uniwersytetów. Dlaczego ich architektura jest taka właśnie, a nie inna? Jakie idee przyświecały twórcom tych budowli? J.K. otrzymał z powrotem swoją czytelniczą kartę i jeszcze przez kilka lat krążył po gmachu biblioteki z nieodłącznym papierosem w palcach.



Dynamika systematycznego wzrostu, nowoczesna przestrzeń intelektu, labirynt znaków, magia zaangażowanych w swoją pracę ludzi z pasją – to tylko kilka haseł, które przychodzą na myśl, kiedy chcemy przywołać nazwę Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego i 70 lat jej historii. Łódź przed dwoma wiekami powstawała z tradycji niejednorodnych, i podobnie powstawał – jako mozaika różnych treści intelektualnych – Uniwersytet Łódzki.

profesor Jarosław Płuciennik



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu
ŁÓDZKIEGO

www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 665 58 63, faks (42) 665 58 62

ISBN 978-83-7969-679-6



9 788379 696796